

„NIEWIDZIALNE NADCHODZI NIEWIDZIALNIE”

Z ROBERTEM GAWŁOWSKIM
ROZMAWIA MACIEJ BIESZCZAD

Maciej Bieszczad: *Przed naszą rozmową dotarłem do wywiadu, jakiego udzieliłeś „Toposowi” w 1996 roku. Twój ówczesny rozmówca, Karol Maliszewski, zadał Ci szereg ważkich pytań, moją uwagę przykuła jedna z odpowiedzi, otóż powiedziałeś, że literatura jest podróżą, podróżą chroniczną, czyli nieustanną wędrówką. Czy dziś uważasz podobnie?*

Robert Gawłowski: Dziękuję za to przypomnienie. Pamiętam dobrze tamtą rozmowę i tamten „Topos” z portretem Rolanda Topora na okładce, w meloniku, z cygarem... Szmata czasu. Dwadzieścia cztery lata temu... To było na krótko przed ukazaniem się zbioru *Podróż chroniczna*. A pretekstem i kontekstem mojej ówczesnej wypowiedzi były też zamieszczone obok wiersze. Wtedy mówiłem, że samo życie jest chroniczne, w podwójnym znaczeniu tego słowa, że nie da się niczego zatrzymać, że wszystko ulega przemianie, a moja skłonność do podróżowania jest tak chroniczna, jak chroniczny jest czas, czy jak chroniczny może być katar. I dziś myślę o tym podobnie. Sam akt pisania jest krótszą lub dłuższą podróżą. A może lepiej byłoby powiedzieć: wędrówką. Są wiersze, które zapisuje się szybko i takie, w których, którymi albo przez które wędruje się latami. W tym sensie pisanie czy, mówiąc skrótowo, literatura jest podróżą. A fenomen takiej podróży polega na tym, że – z perspektywy czytelniczej – można ją przerwać i do niej wrócić. Powtórzę sobie sprzed lat. Ta podróż kryje się wszędzie, bo jest nią nasze życie.

– Ponad dwadzieścia lat „milczenia” i w ciągu niespełna roku wydałeś dwie książki poetyckie Pył i Dotknięcie. Niebawem ma się ukazać trzecia. Pisałeś „do szuflady”? Co robiłeś przez wszystkie te lata?

*– Po wydaniu *Podróży chronicznej* i poematu o Traklu Georg – *ostatnie chwile, ostatnie błyski* (1997–98) nie zamierzałem wcale rozstawać się z poezją i się z nią ani na chwilę nie rozstałem. Bardzo angażowała mnie praca w radiu, zająłem się realizowaniem widowisk multimedialnych, w dużej mierze opartych również na moich publikowanych*

i niepublikowanych tekstach poetyckich. Fascynowały mnie nowości technologiczne, używanie laserów, łączenie słowa i muzyki z przetwarzanym na różne sposoby obrazem, wreszcie, wydobywanie za pomocą światła piękna architektury, tworzenia poezji, która wychodzi poza samo słowo. Była to ogromna wieloletnia przygoda twórcza. W przypadku widowisk o charakterze historycznym wiązało się to z licznymi kwerendami, badaniem źródeł, tekstów, przekazów, starych fotografii czy filmów. Miałem okazję pracować z wieloma wspaniałymi artystami. Tak było na przykład w Twoim rodzinnym Wieluniu, gdzie pracowałem z wybitnym malarzem Wojciechem Siudmakiem. Wtedy tematem był jego projekt „Wieczna miłość”. „Rysując” laserami w przestrzeni, staraliśmy się pokazać, jak będzie wyglądać pomnik, który dziś stoi w Wieluniu. To tylko jeden przykład mojej aktywności w tamtych latach. Zrealizowałem bardzo wiele takich spektakli. Byłem też czynnym dziennikarzem, zbudowałem od podstaw studio radiowe w Instytucie Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Wrocławskiego, gdzie prowadziłem zajęcia praktyczne ze studentami, wykładałem na Uniwersytecie Sztuki (UdK) w Berlinie, pracowałem jako ekspert Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, prowadziłem własną agencję promocyjno-reklamową, która dawała mojej rodzinie podstawy bytowe, a także pracowałem jako menedżer w różnych instytucjach kultury czy jako specjalista ds. PR doradzałem dużym firmom. Rodziły się dzieci... Przybywało obowiązków... Trudno było o czas na publikowanie w prasie literackiej czy zajęcie się wydawaniem kolejnych tomów poetyckich, gdy na horyzoncie pojawiały się takie projekty, jak – na przykład – słynne już dziś, znane w Polsce i świecie, wrocławskie „Hydropolis”. Mieć choćby swoją maleńką cegiełkę w czymś takim, to też wielka satysfakcja. No więc, takie to były powody, że na te długie lata znalazłem się poza obiegiem poetyckim. A szuflada, owszem, jest pełna. Tylko... że te trzy książki poetyckie, o których mówimy, oraz trzy, może i cztery, kolejne – jeśli się ukażą – to efekt ostatnich trzech lat intensywnego pisania... To są głównie nowe rzeczy, poza kilkoma tekstami, które faktycznie długi czas sobie leżakowały jak wino w piwnicy.

– *Czy niepublikowanie własnych utworów, niewydawanie nowych książek jest tożsame z milczeniem poety? Kiedy tak naprawdę poeta milczy?*

– Mogę mówić tylko za siebie. Rozumiem oczywiście, że mówimy o takim milczeniu, kiedy to poeta nie zapisuje wierszy. Może je sobie myśleć, nawet wypowiadać głosem, ale nie zapisuje, nie idzie z nimi do odbiorców. Niepublikowanie, niewydawanie, bycie poza tzw. środowiskiem lub obiegiem w moim przypadku nie było jednak, w żadnym wypadku, takim poetyckim milczeniem. Owszem, przyznam szczerze, że po wydaniu *Podróży chronicznej* (Nagroda Fundacji Kultury za maszynopis) i poematu o Traklu liczyłem na jakieś większe zainteresowanie krytyki. *Podróż chroniczną* świetnie zrecenzował Janusz Drzewucki. Ale to wszystko. Pomyślałem sobie wtedy, że – być może – czas prasy literackiej i tomików wydawanych drukiem już się skończył. Ale na szczęście nie była to prawda. Jest do kogo i do czego wracać, nawet jak się te dwadzieścia lat z okładem „pomilczy”.

– *Autorem tomu Pył jest oczywiście Robert Gawłowski, człowiek z krwi i kości, ale powiedz nam kto tak naprawdę napisał tę książkę? Są poeci, którzy twierdzą,*

że to dajmonion, tajemniczy głos wewnętrzny dyktuje im wersy. Jak było w Twoim przypadku?

– Chwilę wcześniej użyłem zwrotu „zapisywanie wiersza”. Używam tego zwrotu świadomie, tak jak to czyni znakomity poeta, a mawiam o nim często: „mój Brat w Duchu”, Wojciech Kass, który, jakiś czas temu, napisał do mnie tak: „Dzisiaj nie pisze się wierszy, ale je projektuje, nie powstają wiersze tylko projekty. Pewna osoba prosiła mnie niedawno, abym napisał wiersz o tym i o tym – i natychmiast jej odpowiedziałem – nie piszę wierszy. – Jak to, Pan? – Ja je zapisuję, a to nie jest to samo”. I zgadzam się z Wojciechem Kassem w każdym calu. Wiersze „zaprojektowane” zazwyczaj mi się nie udają. Faktycznie, zdarza się, że mówi mną dajmonion. Wtedy, kartka, ołówek, długopis i... tylko zapisuję. Zachowuję te rękopisy z wielką atencją dla pamięci owej chwili i pamięci owego „głosu”. Oczywiście, że potem jest praca nad tekstem, poprawki, kolejne wersje, czyszczenie wiersza. Kiedy jednak odpadnie to, co zbędne...

Bywa, że jest to czasem jedno albo pół zdania, czasem zwrot, czasem jakiś mglisty obraz, a niekiedy „goły” tytuł, pomysł zapisany dwoma słowami. O tej tajemnicy mówiłem w wierszu *Atrament*, który znalazł się w tomie *Pył*.

– Jak i dlaczego w ogóle powstał *Pył*?

– W drugiej połowie marca tego roku, na początku lockdownu, dopadły mnie bóle kręgosłupa. Te dolegliwości mam, niestety, co jakiś czas. Pilnie potrzebowałem konsultacji ortopedy. A znalezienie go wtedy graniczyło z cudem. Z pomocą przyszli mi przyjaciele z wrocławskiego Centrum Medycznego Sonokard, które już w styczniu obiecało wesprzeć wydanie zbioru *Dotknięcie*, złożonego pół roku wcześniej do Biblioteki „Toposu”. W praktycznie pustej klinice pojawiłem się 22 marca z samego rana. Wszyscy byliśmy bardzo spięci. Wiadomo – pandemia. Kiedy odwiedziłem



Robert Gawłowski. Fot. D. Gawłowska

aptekę i wróciłem do domu, odezwał się telefon. Od Ryszarda Sławczyńskiego usłyszałem niewiarygodną propozycję. Jeśli za dwa tygodnie prześlę zredagowaną książkę poetycką wraz z projektem okładki, to jeszcze przed Świętami Wielkanocnymi wyda ją wrocławska oficyna Akwedukt działająca przy Klubie Muzyki i Literatury we Wrocławiu. Propozycja, jak na tamten czas, niebywała. Ale niemożliwe stało się możliwym. I tak, zupełnie nieplanowany, *Pył* ukazał się przed *Dotknięciem*. Potem kilka egzemplarzy autorskich zawiązałem do kliniki Sonokard jako wyraz wdzięczności za okazaną mi pomoc medyczną. Dodam, że dotąd pisałem całe książki poetyckie. Ale nie miało to charakteru jakiegoś z góry założonej strategii autorskiej. Tak się po prostu działo. Aczkolwiek, na początku swej drogi poetyckiej, tuż po stanie wojennym, w serii poetyckiej redagowanej przez Jana Stolarczyka we wrocławskim OTO „Kalambur”, wydałem tomik tzw. różnych wierszy zatytułowany przekornie *Ograniczony wybór*, bo w jego zawartość ingerowała ówczesna cenzura. Tym razem stało się trochę podobnie. Wybrałem trochę wierszy „greckich”, trochę „rzymskich” oraz tych bez przymiotnika i starałem się z nich ułożyć w miarę spójną opowieść o sobie i o naszym czasie. Można to uznać za paradoks, jeśli nieustannie pojawia się to, co minione i co zamieniło się w pył. Te lustra starożytności wcale jednak nie kłamią i warto się w nich przeglądać.

– *Parafrazując werset biblijny – „z prochu powstałeś i w proch się obrócisz”, zapytam, czy to samo dotyczy pyłu? Czy w Twojej książce tytułowy pył jest siłą sprawczą i zarazem kresem wszystkiego?*

– Myślę, że ów tytułowy *Pył*, jest przede wszystkim elementem, stadium i znakiem przemiany, która przecież nieustannie robi swoje i to zarówno w wymiarze ludzkim, ziemskim, jak i kosmicznym. To prawda, że można wyjść od Biblii, a szczególnie od Księgi Koheleta i słów: „Vanitas vanitatum et omnia vanitas – Marność nad marnościami i wszystko marność”. Celowała w tym poezja średniowiecza i baroku, mówili o tym wielcy mistycy i poeci, jak choćby Mikołaj Sęp-Szarzyński czy też – myślę – nie do końca odkryty Anioł Ślązak, ale dziś są to prawdy wcale nieoczywiste. Konsumpcjonizm, ekonomiczny materializm, prymat „mieć” nad „być”, egoizm partii, grup, korporacji, przyzwolenie na publiczne kłamstwo, kult wiecznie młodego ciała, jakiś rodzaj lekceważenia, a nawet pogardy dla starości, dla nieuchronności umierania i śmierci oraz temu podobne, chore, masowe iluzje i jakiegoś niepisane wzorce; wszystko to domaga się przypominania słów Horacego, który swoim współczesnym przecież, a nie potomnym, przypominał: „jesteśmy pyłem i cieniem”. Czy chciano go słuchać?

A wcześniej? Ileż to cywilizacji i imperiów miało się za wieczne, nienaruszalne i grzeszyło pychą? Wystarczy pojechać na Delos: „Fale, wiatry, deszcze i biały pył, biały pył”.

– *W wierszu Ostatni geometrzy, piszesz: „Mało kto dziś rozumie, co znaczy sprawować pieczę”. Kim są ci, którzy sprawują pieczę, kim są ostatni geometrzy, kto to taki?* – „Geometra” to oczywiście przenośnia, to ktoś, kto strzeże wartości zarówno tych etycznych, jak i estetycznych, o których uczyła – zmarła w 2015 roku – profesor Maria Gołaszewska.

Jeśli chodzi o poetki i poetów, którzy są dla mnie takimi „geometrami sprawującymi pieczę”, to parafrazując tytuł wiersza i tomu Stanisława Barańczaka *Jednym tchem*, właśnie takim jednym tchem mógłbym wymienić: Czesława Miłosza, Zbigniewa Herberta, Tadeusza Różewicza, Jarosława Marka Rymkiewicza, Zygmunta Kubiaka, Ryszarda Przybylskiego czy znakomitego poetę litewskiego Kornelijusa Platelisa. Ale to zbyt krótka lista, bo spoglądając w stronę swojego pokolenia powinienem wskazać Urszulę Małgorzatę Benkę, Janusza Drzewuckiego, Tadeusza Lewandowskiego, Krzysztofa Lisowskiego, Karola Maliszewskiego, Krzysztofa Cwiklińskiego, Marka Rapnickiego, Jarosława Trzeźniewskiego-Kwietnia, Krzysztofa Kuczковского i Konstancję „Toposu” ze wspomnianym już Wojciechem Kassem i moim imiennikiem Wojciechem Gawłowskim na czele. Nie mogę też pominąć autorów młodszych, czyli Radka Wiśniewskiego, no i Ciebie Macieju. Tak, tak. A oglądając się wokół siebie, choćby w miejscu mojej codziennej pracy, czyli w Miejskim Przedsiębiorstwie Wodociągów i Kanalizacji we Wrocławiu, widzę też wielu znakomitych fachowców, nie tylko menedżerów czy inżynierów, ale tych wspaniałych ludzi, którzy ciężko pracują fizycznie i sprawują prawdziwą pieczę, by miasto miało wodę. Może nie są tak elokwentni i widoczni, ale jak się ich bliżej pozna, to czapki z głów. Nie mogę też nie wspomnieć o medykach, z którymi ostatnio jakoś mi po drodze. To wspaniali wrocławscy lekarze i moi przyjaciele: doktor Małgorzata Olesiak-Andryszczak, doktor Piotr Polański czy Maciej Andryszczak, który zarządza kliniką Sonokard.

Opowiem, co mi się przydarzyło. Otóż w maju znalazłem się pod Stadionem Miejskim we Wrocławiu, gdzie zorganizowano pierwszy w Polsce otwarty punkt testowania COVID-19. Chodziło o to, by najpierw przebadać medyków. Ale w kolejce samochodów widziałem wiele innych osób. Ubrojony w maskę, przyłbicę i rękawice z pewnej odległości podziwiałem pracę całego zespołu. I wtedy pokazano mi coś, czego nigdy nie zapomnę. To był wiersz *Ostatni geometrzy!* Okazało się, że przepisany i wydrukowany na zafoliowanej kartce, towarzyszył lekarzom, pielęgniarkom i laborantom bardzo długi czas. Mówili mi, że czytają go sobie każdego dnia, bo leży u nich na stole i że ten wiersz jest im potrzebny, bo daje pokrzepienie „w czasach zarazy”. Czy coś bardziej poruszającego może spotkać poetę?

– *U Kawafisa podróż do Itaki sama w sobie jest ostatecznym celem, bez Itaki nie mogłaby się rozpocząć ani odbyć... Czym jest Itaka Roberta Gawłowskiego? Czy Itaka jest jedna, czy też jest ich znacznie więcej?*

– Jak pamiętamy z *Iliady*, Odys wcale się nie kwapił, by opuścić Itakę. Gdy człowiek jest młody, to się rwie do świata. I mnie to nie ominęło. Gdyby zatem ową Itaką był rodzinny dom w moim miasteczku na Dolnym Śląsku, to już go tam nie ma. Są tylko groby bliskich. Ta Itaka, to tylko wspomnienie. Na szczęście wróciłem do niej tomem *Podróż chroniczna*. Zatem? Wciąż od nowa szukam swojej Itaki. Może faktycznie, nie ma jednej Itaki. Może jest ich wiele. Może to po prostu coś, za czym tęsknimy. W moim wieku tęskni się już za spokojnym dachem nad głową, za zdrowiem, za trwaniem w miłości z ukochaną Penelopą. No, ale są jeszcze te Itaki poetyckie. Ale gdzie one, tego dokładnie nie wiemy. Czujemy tylko, że gdzieś nas niesie, ale czy tam dopłyniemy? W jakimś sensie więc, Itaką może być kolejna książka.

– *Jest w tomie Pył taki wiersz zatytułowany Mowa trawa. Czy współczesna literatura polska to mowa trawa? Kiedy poezja ma szansę stać się czymś więcej niż pięknym zbiorem słów, zmierzającym ostatecznie donikąd?*

– Nigdy nie śmiałybym nawet pomyśleć, że współczesna polska literatura to mowa trawa. A co dopiero tak powiedzieć. To chyba jednak nie ten trop. Ten wiersz został zapisany w pierwszej połowie lat 90. I pisałem go trochę przeciw samemu sobie. Nie chodziło mi wtedy nawet o podważanie sensu twórczości, sensu uprawiania poezji. Raczej przestrzegałem siebie przed pychą, przed pustosłowiem i przed tym, żeby za bardzo nie wejść w „rolę poety”, a dokładniej, żeby nie ulec taniemu poklaskowi i pułapkom ego, wtedy nie ma już o czym mówić. Jakieś błaznowanie, dworskie harce, oddanie się na usługi tym czy innym mocom. Kiedyś napisałem manifest „poezji poznającej” i starałem się być mu wierny. Tytułowa „mowa trawa” jest zaprzeczeniem poznania. Przyznaję, że sporo i teraz jest tej pseudopoetyckiej „mowy trawy”. To wypowiedzi tylko odrobinę sprawniejsze od grafomanii. Jak je rozpoznać? Bardzo prosto. Po przeczytaniu takiego wytworu językowego nie pozostaje w odbiorcy nic. Żeby chociaż jakieś rozdrażnienie. A tu? Zupełnie nic. I to jest właśnie nieistotna „mowa trawa”. Coś, co jest zupełnie zbędne. A kiedy jest szansa na poezję? Znow mogą powiedzieć tylko w swoim imieniu. Otóż jest wtedy, kiedy dotykamy czegoś ważnego dla ludzkiej kondycji, kiedy diagnozujemy siebie i nasz świat, ale w perspektywie wykraczającej poza nasze małe wielkie „ja” i kiedy stawiamy swoje diagnozy przed lustrami historii i kultury, kiedy jesteśmy świadomi nie tylko tego, co już napisali, powiedzieli czy przedstawili przed nami inni, ale kiedy jesteśmy świadomi też własnych ograniczeń. Jeżeli czytający odnajdują w wierszu swoje myśli, uczucia, niepokoje – to już wiele. Ale powinni odnaleźć coś jeszcze. A mianowicie to jedyne w sobie, niepowtarzalne spojrzenie, którego wyraz oczarowuje lub zbija z pantafelku, pobudza, porusza, wywołuje zdziwienie wszystkim, co w sobie zawiera, nie tylko samą oryginalnością użycia języka.

– *Jak wspominałeś, tuż po Pyle, w serii poetyckiej Biblioteka „Toposu”, ukazało się Dotknięcie, gdzie mamy wiele rozmaitych dotknięć. W większości wierszy z tego zbioru dotykamy niedotykalnego, niewidzialnego. Tym wszystkim duchowym doświadczeniom, tak bardzo osadzonym w świecie materialnym, towarzyszy pewien stan przebudzenia. „Skąd powracają obudzeni nagle w środku nocy?”*

– Gdybym to ja wiedział? Sam wiele razy doznawałem takich powrotów. Tak, piszę o tym w wierszu. Ale jak nazwać to miejsce i czy miejsce? Tę przestrzeń, a może tę nie-przestrzeń? Zaświat? Przyświat? Obokświat? No i jaka liczba, czy aby na pewno pojedyncza? A jeszcze... Czy aby, doprawdy, jesteśmy przebudzeni? Czy może jako ludzkość także zbieramy się do jakiegoś przebudzenia. Ale jakże nieporadnie się zbieramy. Czy aby faktycznie się zbieramy, czy może też dalej – podszyci strachem – pograżamy się w jakichś kolejnych snach o potędze? Ostatnio znow szukam odpowiedzi u mistyków, u Hildegardy z Bingen, u Jana Ruysbroeka, Mistra Eckharta, św. Jana od Krzyża, Jaocoba Boehme, Anioła Ślązaka, Nikołaja Bierdiajewa, Władimira Sołowjowa. I żeby tylko u mistyków...

– Czytając *Dotknięcie mam wrażenie, jakbym obcował z językiem, którego nie sposób wyartykułować, powtórzyć, nie można się go nauczyć. Skrzypiące okiennice, milknący knot świecy, porowata ściana, mówią więcej, ale nie każdy potrafi usłyszeć te głoski, sylaby, słowa, głos, który „nie ima się zaimków i nazw”. Czym jest wiersz, który wyprowadza z wiersza? Co to takiego?*

– Dobre określenie: „wiersz, który wyprowadza z wiersza”. Naturalnie, rodzą się pytania. Co to za wiersz, który „wyprowadza z wiersza”? A jeżeli... To, w jaki sposób wyprowadza? Dokąd wyprowadza? Na czym to wyprowadzanie miałoby polegać? Skoro czytająca lub czytający jest już w wierszu, wędruje jego tropami, jak po lesie; a – używając kategorii profesora Romana Ingardena – jakoś i zawsze na swój sposób konkretyzuje sobie świat przedstawiony. Używając metafory lasu, odwołam się do prześwitów, do światła między drzewami i zaroślami. A idąc dalej, skłonny byłbym nazwać owe miejsca „prześwitami metafizycznymi”, albo – jak mawiają fizycy – czasoprzestrzennymi tunelami Einsteina-Rosena. Z tym że dla fizyków owe tunele, to zaledwie hipotetyczna właściwość topologiczna czasoprzestrzeni będąca rodzajem „skrótów” pomiędzy co najmniej dwoma obszarami Wszechświata lub rodzajem mostu łączącego wszechświaty. Tak mówi wszechwiedząca Wikipedia. Ale my mamy na myśli zjawisko mentalne, które może zachodzić w umyśle czytającej lub czytającego? Co jest zatem za owym „metafizycznym prześwitem”? Jakaś inna rzeczywistość czy nicność? Ale po cóż wychylać się ku nicności? A może zatem Nadprzyrodzone? Boskie? Która odpowiedź właściwa? Czy w ogóle jest na to jakaś odpowiedź? Ale przecież to się zdarza, gdy czytamy na przykład angielskich poetów metafizycznych Donne’a, Herberta czy Marvella, albo Rilkego, czy też Leśmiana. Tajemnica tkwi oczywiście w języku, w obrazie poetyckim i w tym, co się „rysuje” poza nim.

– *Twoja najnowsza książka poetycka Wieża wiatrów, mająca ukazać się na początku 2021 roku, to misterna budowla, w której krzyżują się czasy. Przeszłość znajduje dalszy ciąg w terażniejszości, niejako zapowiadając to, co ma się wydarzyć. Czy zawsze „jest” zamienia się w „było”, czy wbrew temu istnieje coś, co mimo wszystko trwa?*

– Trudno zaprzeczyć, że „jest”, którego doświadczamy zamienia się w „było”. Ale kiedy uświadamiamy sobie, że i bez nas fizycznych świat będzie nadal trwać, tak jak z nami trwa bez tych, którzy już na zawsze odeszli, a pozostają jedynie w jakiejś jednostkowej lub zbiorowej pamięci żyjących, to wówczas Twoje pytanie: „czy istnieje coś, co mimo wszystko trwa?”, tak naprawdę jest pytaniem o Boga, czy też – mówiąc inaczej – o Absolut. I tu każdy sam musi szukać odpowiedzi. Z Bogiem czy bez Boga? Co ma sens, a co sensu nie ma?

– *Przyjemnie się Ciebie słucha, Robercie. Przykład Twojej poetyckiej, ale również życiowej postawy, pokazuje, że bycie poetą, życie dla literatury i w zgodzie z tym, co ją wywołuje i nadaje jej kształt, jest stanem chronicznym i permanentnym. Bardzo dziękuję za rozmowę. ▣*